

II/595

9

Małgorzata Derengowska
ul. Chrobrego 50
62-041 PUSZCZYKOWO

Centrum Dokumentacji AW
Krakowskie Przedmieście 25
00-071 WARSZAWA

Przeczytałam o konkursie na pamiętnik "Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939-45". To mnie zmobilizowało do napisania tej pracy. Nie jest to praca na konkurs, gdyż nie jest to mój pamiętnik, ani też tematem nie jest okupacja, a więzienia i łagry ZSRR w latach 1940-41. Myślę jednak, że powinien on trafić do historyków i dokumentalistów tych czasów, bo zawiera sporo faktów, szczegółów, dat i nazwisk. Ze swej strony spłacam w ten sposób dług swojemu dziadkowi, gdyż jego jest to pamiętnik.

Bolesław Billip, urodzony 6. 12. 1895 w Warszawie. Dzieciak, Antoni Billip, członek PPS, skazany i wywieziony na Syberię w 1905 lub w 1907 roku. Bolesław przeszedł szlak bojowy Legionów Polskich. Więziony w Szczypiornie. Brał udział w wojnie 1920. Zawodowy wojskowy, oddelegowany do Łucka około 1930 roku. Na rencie z powodów zdrowotnych od 1935 (?). 24 marca 1940 aresztowany przez NKWD. Przyjęty do armii gen. Andersa 9 października 1941 w Buzołukach. Następnie przeszedł szlak bojowy 2-ego Korpusu przez Bliski Wschód, Afrykę i Włochy. Po wojnie pozostał w Wielkiej Brytanii. Do kraju wrócił na stałe w 1963 roku. W latach 70 -tych napisał ten pamiętnik, udostępniając go rodzinie i znajomym. Chciał mówić o tym głośno, ale nie dożył czasów, gdy stało się to możliwe. Zmarł nagle na serce w styczniu 1982, przeżywszy 87 lat. Po powrocie do Polski mieszkał w Puszczykowie, we własnym domu, wybudowanym na działce przyznanej jego żonie w zamian za dom i ziemię zostawione pod Łuckiem. W tym domu ja teraz mieszkam. Żona i syn (moja babcia i ojciec - oboje nie żyją) zdołali w 1940 roku uciec do Generalnej Guberni (do Ostrowca Świętokrzyskiego) i tam w rodzinnych stronach przeżyli wojnę. Dzieciak był członkiem Armii Krajowej pod tradycyjnym pseudonimem Antoni.

Małgorzata Derengowska

Puszczykowo, 26 kwiecień, 1992 r.

Po klęsce Polski, po masowych aresztowaniach i setkach pociągów z wagonami bydłocymi, pełnymi ludźmi, 24 marca 1940 roku przysła kolej i na mnie. Tego dnia o północy przyszedli, zabrali. Bramy więzienia łuckiego zamknęły się za mną. Po załatwieniu wszystkich formalności w NKWD zostałem wpochnięty do celi nr 9. Pomimo nocy (godzina 2-ga lub 3-cia) kilku więźniów zerwało się z barłogów aby powitać nowego gościa. Między nimi był mój kolega Petlicki i inni dobrzy znajomi, którzy po przywitaniu i krótkiej rozmowie zrobili mi miejsce między sobą. Weisnąłem się i leżąc na boku zasnąłem natychmiast.

Rano Wielkanoc, godzina 6-ta - pobudka, teraz mogłem zobaczyć ciasnotę celi, w której byłem 72-gi. Pierwsze zajęcie to porządki. Podsunęto barłóg pod ścianę, nastąpiło zamiatanie i mycie. To się tylko nazywało myciem: jedno wiadro wody na całą celę wystarczyło tylko na obmycie oczu, przy czym odbywało się to nad beczkami z kałem, których zapachem więźniów oddychał całe dnie i noce. Po tej czynności wypuszczono całą celę 72 ludzi do "uborny", czyli ustępu 4 na 4 metry o sześciu sedesach. W wyznaczonym czasie - 10 minut - skorzystała z sedesów tylko pierwsza szóstka, reszta załatwiała się tam, gdzie stała - nie było innego wyjścia. Następnie kroczyło się do wiadra z wodą w celu obmycia się. Po zakończeniu dwaj więźniowie zostawali czyszcząc dla następnej partii.

W celi rozdanie chleba, soli, cebuli (jedna cebula na 16-tu ludzi) i tak zwany "ozaj" z odpadów malin. O godzinie 12-tej obiad: "sup na kostkach" (zupa na kościach) i łyżka kaszy jaglanej. Takie menu było niemal każdego dnia. Raz korpuśny ogłosił, że dzisiaj obiadu nie będzie z powodu remontu kuchni, a w zamian dostaniemy "winegre", nareszcie coś nowego, może dobrego. O godzinie 12-tej do celi wszedł człowiek z dwoma wiadrami. W jednym były ziemniaki w łupach, w drugim buraki. Wysypał to na podłogę i wyszedł. Takie "winegre" bywało często.

Cały dzień rozmawialiśmy na tematy polityczne i rozrywkowe, oczywiście tylko między swoimi, unikało się kapusi, których łatwo było poznać. Często opowiadało się o snach i wróżyło z nich.

Każdego dnia wywoływano na przesłuchania do NKWD. Enkawudzista podawał pierwszą literę nazwiska i wszyscy na tę literę wychodzili za nim. Jeśli rozkazał "z wieszczami" - trafiony brał ze sobą swoje manatki. Tych "z wieszczami" już się później nie widziało.

Dzisiaj mijają miesiąc od aresztowania. Tego dnia nie zapomina się, nawet gdyby nie był pierwszym dniem Wielkanocy. Gdy przyszedli w nocy - czy się ich spodziewałem? Wyobraźnia natrętnie woiska mi przed oczu obraz Judasza, nie mam wątpliwości, kwota srebrników czy rubli, jaka to jest różnica?

Rewizja była formalnością. Niozego nie spodziewali się znaleźć. Biblioteka sztuk teatralnych nie interesowała ich. Nie potrzebowali zresztą żadnego materiału, a może?

Teraz ohodzę środkiem celi między barłogami zgarniętymi pod śoiany. Te barłogi to legowiska ludzi i wszy. W nocy służą odpoczynkowi po dniu, po którym nie wiadomo co nastąpi, w dzień - po noocy męczących badań.

Czy obrałem dobrą taktykę obrony? Wydaje mi się, że tak. Ale nie można już jej zmienić, nawet gdyby inna okazała się lepsza. Obrona musi być konsekwentna w każdym oalu. Atak ma liczne luki. Jest często naiwny. To mi daje pewną przewagę, ale logika nie zawsze góruje nad systemem łamania kości. Stąd nie wypuszcza się na wolność nawet anioła, nawet ozerwonego anioła.

Dopiero miesiąc, a już czuję się starym więźniem politycznym. Niewiele czasu potrzeba, aby przyzwyczaić się do życia poza wolnością. Mam wrażenie, że to co nas czeka tu albo w tajgach Syberii nie będzie najgorsze, jeśli dół nie jest mi jeszcze pisany. Stale konstatuuję, że nie jest aż tak źle. Gdybym sam siedział w celi - mógłbym zwariować, zabić się własnymi myślami. Ale to przebywanie w gromadzie jest przykre dla oddychania, natomiast zbawienne dla ducha.

Co za różnorodność typów, wieku, zawodów, charakterów! Pierwsze obserwacje wykazują mniejszą odporność fizyczną i psychiczną ludzi, którym się przed wojną dobrze powodziło. Są mniej zahartowani. Ta reguła ma oczywiście wyjątki. Na odporność, zwłaszcza psychiczną, oddziałują bowiem różne czynniki jak wiek, stan zdrowia, stan rodzinny i wiele, wiele innych.

Rodzina. Nio o niej nie wiem. Przybysze więzienni nie mogli mi nio powiedzieć. Co się z nimi dzieje? Czy podziela los znaczący krwawe ślady na bezdrożach Syberii? Nowi więźniowie są jedynym źródłem informacji o tamtym świecie. Już wiosna, a z nią wiele nadziei. Co się dzieje na froncie? W tym, co się stanie na wojnie upatruję siły, która zmieni mój los.

Tymczasem trwają przesłuchania. Są męczące, a pytania mało znaczące. Te najważniejsze chowają na koniec. Nie pamiętam, ile razy byłem już na badaniach, są one wszystkie podobne jota w jotę. Czasami tylko zaohodzą jakieś nowe okoliczności, ponieważ mimo typowości tych operacji

prowadzący śledztwo zmieniają się często.

Wywołanego z celi prowadzą z rękoma do tyłu i pakują do klatki w ciężarówce więziennej. To nawet nie klatka, a stojąca trumna. Potem ocala w poczekalni NKWD, z której więźnia zabiera osobiście śledczy. Wolno siedzieć tylko na krawędzi krzesła. Lampa jak reflektor bije w oczy i oślepia. Nie widzę nikogo za tą świetlną zasłoną, słyszę stale te same pytania. Wiem, że niedługo padnie pytanie najgorsze. Jak długo będę mógł wytrzymać?

Badanie zmienia się często w swego rodzaju dyskusję, nie odbiegającą zresztą od tematu. Ale daje to dużą okazję do osiągnięcia przewagi oraz zastosowania różnych manewrów psychologicznych.

Śledczy oskarża mnie o udział w wojnie przeciwko armii czerwonej w roku 1920. Odpowiadam, że nie walczyłem przeciwko armii czerwonej lecz jedynie przeciwko Trockiemu. Śledczy czuje, jak mu się wyślizguje. Ponawia zarzut, starając się kłaść nacisk na armię czerwoną, wikła się, stawiając znak równości między armią a Trockim. Odpowiadam spokojnie, z całym przekonaniem i kładę kropkę nad "i" dygresją na temat końca kariery Trockiego - zdrajcy Związku Radzieckiego i agenta żydowskiego.

W trakcie przesłuchania przechodził wyższy oficer NKWD, któremu śledczy powtórzył przebieg sporu, jak gdyby naiwnie skarżąc się, że więzień nie ohwyoił haozyka. Ofioer przyznał mi rację. Jedna runda dla mnie.

Tkwi we mnie przekonanie, że wśród naszych oprawców są ludzie podobni do ludzi. Może są wśród nich Polacy syberyjscy, synowie polskich zesłańców, w których żyłach, może podświadomie, walczy polska krew z sowieckim wychowaniem. Ludzkość nie ustąpiła jeszcze całkowicie barbarzyństwu. Znaczy to, że jestem optymistą, że się nie załamalem. To stwierdzenie zwiększa moją odporność. Ale jak długo może się trzymać duch w niszczejącym oiele ?

Przykład: "Byłeś patriotą rządu polskiego ?" - pyta śledczy. Odpowiadam, że nie i powtarzam tę odpowiedz przez kilka męzoząoyoh godzin. Ze spokojem przy jmuje brukową łaoinę śledczego na mój temat. Wreszcie jego nerwy nie wytrzymują. " A czyj ty patriot ?! - krzyczy. Czekałem na to pytanie i odpowiadam : "Państwa Polskiego". "To wszystko jedno" - bełkocze śledczy. Odpowiadam, że nie. Rządy się zmieniają, a państwo jak było tak i jest. Rządy mogą popierać, jeśli mam do nich zaufanie. I tę rundę wygrałem.

Kiedyś pyta mnie o POW. Udaję durnia, i to zdziwionego, co nawiasem mówią jest znakomitym środkiem w trudnych okolicznościach. Śledczy wyśmiewa mnie, próbuje wejść mi na ambicję, a ja nic, tylko - nie wiem, co to takiego ten POW. Enkawudzista nalega, przypiera mnie do muru, jakby chciał siłą sugestii przelać we mnie co to znaoczy POW. Zastanawiam się i pytam: " A może to PAW ?" Śledczy uradowany, odpowiada , że może po naszymu to PAW. Robię jeszcze bardziej kretyńską minę i tłumaczę mu, że jest to taki duży ptak z pięknym upierzeniem, szczególnie u samca. Szlak go trafia, wyzywa mnie całą radziecką łaoiną nie szczędząc wyrazu "durak".

To wszystko nie było ważne. Decydujące dopiero miało nastąpić.

Było to prawie setne przesłuchanie. Siedzę w świetle reflektora i słyszę śledczego wyczytującego nazwiska moich znajomych i innych. Po każdym nazwisku mam odpowiedzieć czy znam, czy nie. Po kilku nazwiskach, po których odpowiedziałem "znam" padło nazwisko Bronisława Bilińskiego. Strzał celny, zaomilo mnie na moment, ale odpowiadam "nie". Śledczy wstaje wściekły, zbliża się do mnie, szykuje do zadania ciosu... i w tym momencie otwierają się drzwi, wchodzi drugi śledczy. Ze słowami "zostaw go" zajmuje jego miejsce i od początku wyczytuje te same nazwiska. Po Bilińskim odpowiadam "nie", pada następne nazwisko - Bujko Jan. Odpowiadam "tak, znam". "To jest ten sam; uciekł, ale my go znajdziemy" - mówi śledczy. Błogo mi się zrobiło na duszy, gdyż na tym zakończono śledztwo.

Ta oczęść wymaga wyjaśnienia. Gdy wybuchła wojna zostałem powołany ze stanu spoczynku do służby wojskowej z przydziałem do oddziału specjalnego. Otrzymałem polecenie zorganizowania oddziału dywersyjnego z ochotników. Każdy miał przybrać pseudonim. Pobierając od swego dowódcy załozkę pieniężną pokwitowałem przybranym nazwiskiem Bronisława Bilińskiego. Dowódca wyjechał w swojej misji, a ja natychmiast przystąpiłem do tworzenia oddziału, gdyż front zbliżał się ku wschodowi. Nie zdążyłem spełnić powierzonego mi zadania z powodu wkroczenia armii czerwonej. Wobec tego zaniechałem dalszego werbunku i oddział rozwiązałem. Nie oddalałem się z domu unikając wszelkich spotkań. Pewnego dnia moja lokatorka, pani Palkowa przyprowadziła człowieka nazywającego się Jan Bujko z urzędowym nakazem zakwaterowania. Bujko był ranny i leżał w szpitalu, w którym pracowała Palkowa. Choąc się dowiedzieć, kogo mi przysłano,

zaprosiłem go na obiad. Gość okazał się nie zwyczajny, więc ostrożnie nawiązałem z nim rozmowę na różne tematy wymieniając mimochodem hasło, które mógł znać tylko nasz ołówek. Odpowiedział prawidłowo, tajemnic już między nami nie było. Tej nocy, gdy mnie aresztowano, Bujko zniknął. Moje przybrane nazwisko wpadło do rąk rosyjskich wraz z dokumentami, między którymi znajdował się mój kwit. Przypuszczam, że nasz dowódca stoczył walkę i zginął lub popełnił samobójstwo inaczej nastąpiłoby spotkanie, ale już w NKWD.

Ostatni raz zabrano mnie na przesłuchanie w dzień, na krótko, a potem odstawiono mnie do więzienia, ale nie do celi. Wyszczono mnie na podwórku przy ścianie kanoelarii, zostawiając otwartą bramę - 5 metrów do wolności. Usiadłem na ziemi i zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem, ale po przebudzeniu nadal nie było żadnej straży, wystarczyło parę kroków, by znaleźć się za bramą. Byłyby to jednak moje ostatnie kroki. Wstałem i wszedłem do kanoelarii, dyżurny strażnik bez słowa odprowadził mnie do celi. Zasadzka się nie udała.

20 listopada 1940 roku wraz z grupą więźniów zapakowano mnie do samochodu, który zajechał na stację kolejową Łuck. Czekaając na peronie zobaczyłem znajomego urzędnika kolejowego. Nasze spojrzenia spotkały się. Ze zrozumiałych względów nie mógł się do nas zbliżyć. Porozumieliśmy się wzrokiem. Poszedł w kierunku wschodnim, odwrócił się, idąc wolno i udając, że zapisuje coś w notesie przyoisnął ołówek do seroa i wskazał na zachód. Miało to znaczyć, że moja rodzina zdołała uciec za Bug. Kojarząc wcześniejsze strzępy informacji nabrałem teraz pewności, że żona z synem umknęli przed Syberią.

Polską więźniarką ruszyliśmy do Lwowa. Na drugi dzień przeszliśmy do pociągu sowieckiego, składającego się z samych więźniarek. Jak wygląda taki wagon? Z jednej strony normalne okna mocno zakratowane. Wzdłuż okien korytarz. Wzdłuż korytarza ściana z grubej kraty z wejściami do przedziałów na 8-10 ludzi, nas wpakowano po 16-tu. Przedziały nie mają okien, a całe wnętrze wygląda jak klatka na grubego zwierza. W Kijowie wysiadka. Do więziennego wozu siłą wpełznięto 50-100 ludzi. Żeby drzwi dały się zatrzasknąć staliśmy z podniesionymi rękoma trzymając swoje zawiniątka. Po przybyciu na miejsce 5-10 ludzi wyniesiono. Co się z nimi stało?

Zamknięto nas w celi przejściowej, wypełnionej już w całości więźniami. Staliśmy tak w ruchomej, zbitej masie, gdyż każdy chciał przeczytać, co zostawili na ścianach więźniowie - poeci. A było co czytać dla zdrowych oczu, dla mnie jednak małe litery były jedną czarną plamą, ale kręciłem się dalej, prawie niesiony, aż zobaczyłem wiersz pisany dużymi literami, który z łatwością odozyczyłem:

Kak dzieś nie był - da budziesz

A kak budziesz - da nie zabudziesz.

Jak tu nie byłś - to będziesz

A jak będziesz - to nie zapomniesz.

I to była prawda, święta prawda. W tej celi dostaliśmy baniak kości z kaszą, do którego dojść było niemożliwe. Ci, co stali przy nim wybierali rękami kości oblepione kaszą i podawali drugim. Nasza grupa z Łucka nie skorzystała z tej gościny, zostawiając dla bardziej głodnych. Po upływie paru godzin zaożęto wyprowadzać po kilku do rejestracji i palowania, a po tej czynności do następnej celi. I tu było bardzo ciasno. Na środku celi stały 4 beczki: dwie na wodę, dwie na kał, potem te na wodę zamieniono również na kał. Powietrze nie do zniesienia. Robiło się coraz oiaśniej, ponieważ ulokowani w pobliżu beczek odsuwali się pod wpływem smrodu i rozlewającej się z przepełnienia ich zawartości. Męozarnia trwała całą noc.

Rano zażyliśmy rozkoszy więziennych łaźni. Znaczyło to, że rozdzieli nas po celach. Istotnie wraz z innymi współtowarzyszami z Łucka dostaliśmy celę nr 324, w której stało 6 żelaznych łózek bez sienników i kocy dla 36-100 ludzi.

Pierwszy raz puścili nas na "pragułku" (spaoer). Okazało się, że w tym samym więzieniu, na parterze, mieszczą się dzieci w wieku około 8-10 lat. Nie wiem, czy były tam polskie dzieci, ale na pewno tak, gdzie by ich nie było? Jakie mogły być ich przewinienia? Drobnie kradzieże, przeważnie żywności. Zabawiały się grą w konika. Polegało to na przerzucaniu różnych przedmiotów z okna do okna przy pomocy sznurka. Towarzyszyło temu dużo krzyku z wywoływaniem nazwisk odbiorców grypsów.

Dziś przeszliśmy badania lekarskie i szczepienia. Cały personel lekarski to kobiety. Podobno takie badania poprzedzają dalszą podróż na wschód. Jesteśmy niespokojni, co przyniesie jutro.

Sprawdziło się. Na drugi dzień opuściliśmy więzienie kijowskie i 4 grudnia 1940 roku przybyliśmy do Starobielska. Przedtem, 26 listopada załadowano nas do bydłych wagonów. Było

zimno, przez całe 9 dni żadnej ciepłej strawy. Lodowata woda z beozki, od czasu do czasu słona ryba, chleb, suchary. Jak na ironię starobielskie więzienie mieści się w adaptowanym prawosławnym klasztorze. Dla wykorzystania kubatury w cerkwi dorobiono jeszcze jedno piętro, w zakrytych - beczki na odchody.

6 grudnia 1940 roku, kończę 45 lat. Siedzę w starobielskim więzieniu. Niewesoła rocznica. Wydaje mi się, że jakieś straszne fatum zawisło nad naszym narodem. Już czwarte pokolenie gnije w rosyjskich więzieniach. Mój ojciec zesłany na Syberię zostawił tam kości. Ja jestem na najlepszej drodze do podzielenia jego losu. Przed oczami przesuwają mi się obrazy mojego życia. Jestem bardzo zmęczony. Naszą pociechą jest teraz tylko możliwość niemiecko-sowieckiego konfliktu. Ale cóż my możemy powiedzieć na ten temat w warunkach kompletnego odcięcia od świata. Jedyne nasze źródło informacji to obsługa kuchni, która nie bez ryzyka czasem coś dyskretnie powie. Zanim można dać wiarę tym wiadomościom wielokrotnie już przekazywanym z ust do ust, trzeba długo czekać na ich potwierdzenie z tego samego zresztą źródła. Przypomina to grę w telefon towarzyski i im bardziej dochodzące informacje są dla nas korzystne, z tym większą rezerwą się do nich odnosimy. Ogromne przygnębienie opanowało nas na wiadomość o kapitulacji Francji. Nie mogliśmy dać wiary, że upadł sojusznik, na którego tak liczyliśmy. Od czasu do czasu udawało nam się zdobyć kawałek gazety, ozięsto dla nas treściowo obojętny, dosłownie skrawek papieru. Pewna grupa więźniów (Żydzi) zorganizowała "abonament" jednej gazety raz na jakiś czas za bardzo słoną opłatą. Musieliśmy składać się na nią ozięścią pajdki chleba, taka była droga.

Wigilia 1940 roku, pierwsza wigilia w więzieniu. Od samego rana dał się wyczuć podniosły i uroczysty nastrój. Przygotowaliśmy potrawy wigilijne z głodowego fasunku chleba oraz zupy obładowej i wieczorowej, która była ugotowana na rybie. Miały one przypominać coś z wigilijnego stołu. Zdawało nam się, że straż zdwoiły ozięność. Atmosfera była napięta. Nie wiedzieliśmy, czy straż więzienna nie będzie usiłowała nam przeszkodzić w wigilijnym święcie. Wreszcie siedliśmy w kuuki przy wyimaginowanym stole. Zaintonowałem pieśń "Bóg się rodzi". Zbiorowy śpiew i zbiorowy płacz ogarnął cały barak, kołęda płacząca. Gdy wspominam tę chwilę zawsze przechodzi mnie dreszcz wzruszenia, jakiś kuroz chwyta za krtkań, a łzy zalewają oczy.

Od paru dni siedzę w karnej brygadzie. Oto jak się tam dostałem:

Koleczy powierzyli mi funkcję starszego brygady. Mam strzec naszych interesów-praw, praw nie pisanych, praw nieznanych, praw niewolników dotyczących pobierania i rozdziału żywności. Żyjemy w takich warunkach, że najbliższa sytuacja urasta do rangi problemu. Jeden z Węgrów, tak zwanych Karpatorusów miał pewne fory w więzieniu i przygotowywał wydawanie zupy dla poszczególnych brygad. Zauważyłem, że przed wydaniem badał gęstość zupy w kociołkach i wybierając z jednego do drugiego szykował najlepszy dla swoich ziomeków. Gdy ustawiliśmy się w kolejce i zobaczyłem, jak przygotowaną zupę wydaje swoim brygadam wyjawilem kolegom szachrajskie sztuczki. Uchwaliliśmy nie brać tej zupy. Momentalnie rozniosło się po wszystkich brygadach. Przybiegł korpuśny w celu zbadania sprawy. Miałem poparcie kolegów, ale znalazła się jedna parszywa owca, na nieszczęście Polak, przed wojną policjant, który skrzytykował mój postępek i prawie oskarżył o bunt. Bolszewikowi było to na rękę: Polak oskarża Polaka.

Starszym karnej brygady był mój znajomy z Łucka, sekretarz sądu okręgowego, niejaki Nowioki. Godności starszego brygady karnej nie dostaje się na piękne oczy. Załamał się psychicznie i odtąd był wykorzystywany jako kapuś. Donosił kto ma igłę potajemnie zmaistrowaną do naprawy łachów i butów, albo inne zabronione rzeczy, a najważniejsze - co kto mówi. Miałem z nim długie rozmowy, przyznał się do tych niegodnych czynów. Usprawiedliwiał się, że są to sprawy bardzo drobne i nikomu poważnie nie zaszkodził. Starłem się wpłynąć na jego morale. Te ozięste rozmowy z nim wzbudziły podejrzliwość współwięźniów w stosunku do mojej osoby. Swoim najbliższym kolegom przedstawiłem ozię sytuację. Nie mieli jednak dla niego współczucia.

W starobielskim więzieniu jestem już przeszło pół roku. Tutaj mnie już nie badano, te sprawy zakończyli w Łucku. Tajny wyrok nie jest i nie będzie mi znany. Każdy prawie dostaje karę śmierci z zamianą na 8 lub 10 lat łagrów. Bardzo to pomysłowe, niech się jeszcze przed śmiercią pomoczy. Wielu już pojechało z tego więzienia w nieznanym kierunku, ale każdy kierunek prowadzi do jednego celu - śmierci. Zżyliśmy się z tą myślą, ale nie tracimy nadziei. Przecież wojna trwa i może przynieść radykalne zmiany.

Jak wygląda starobielskie więzienie przerobione z klasztoru?

Brama, za nią po lewej stronie mała cerkiewka, na wprost bramy duża cerkiew. Krzyże na obu cerkwiach złamane i tak sterczą. Po prawej stronie cerkwi zabudowania klasztorne, po lewej stronie parę budynków murowanych, a dalej baraki drewniane z zakratowanymi oknami. Każdy

barak składał się z dwóch części, każda część podzielona była na 12 brygad, w każdej brygadzie 50 osób. Razem w dwu barakach siedziało 2400 więźniów. W małej cerkiewce zamykani byli ci, których los był znany każdemu (na rozwałkę). W budynkach po lewej stronie siedziały kobiety. Nie wiem, ile ich było. Budynki po prawej stronie to kuchnie i magazyny i około 6 budynków dla więźniów (około 1200). Duża cerkiew miała dwie części: górną i dolną, po 500 osób, razem 1000. W sumie daje to liczbę 4600, ale była to liczba etatowa, my obliczaliśmy ją na przeszło 5000.

Ja początkowo siedziałem w baraku, od marca 1941 w budynku z prawej strony, a po dwu tygodniach w górnej części dużej cerkwi.

Największa liczebnie była grupa Polaków, po nas Karpatorusy, dalej Ukraińcy, Rumuni i inne narodowości oraz Rosjanie.

Żydzi - obywatele polscy podzieleni byli na dwa obozy: jeden wrogi nam, a drugi lojalny. Ten pierwszy zerował na biedakach, którym za paczkę machorki zamieniano ubrania na łachy. Pamiętam jednego osłowieka w mojej brygadzie, który miał bardzo dobre ubranie. Raz na jego górnej przycho czekało dwóch Żydów, po paru minutach Żydzi ulotnili się z baraku z zawiniątkiem, a biedak zszedł z przycho trzymając w ręce 5 paczek machorki, przyodziany w łachmany, przez które prześwitywała golizna.

Karpatorusy byli to przeważnie młodzi i bardzo biedni chłopcy. Obiecywano im, że po panach polskich dostaną ziemię. Uwierzyli i po wkroczeniu wojsk sowieckich do wschodnich ziem naszych przechodzili granicę, aby zająć obiecaną ziemię. Ale zamiast do własnej ziemi wędrowali do sowieckich więzień i łagrów. Z taką właśnie grupą spotkaliśmy się na Kołymie.

W starobielskim więzieniu było jeszcze znośnie, najgorsza była nastąknięta odzież i płuca.

Gdy wreszcie wybuchła wojna niemiecko-rosyjska nie zmieniło się w naszej sytuacji. Tylko my nabraliśmy otuchy i przekonania, że zmiany są kwestią czasu. Staliśmy się bardziej niecierpliwi. Coraz więcej mam roboty z tłumaczeniem snów. Moje zdolności w tym kierunku są już znane naokoło. Sny towarzyszy niedoli są dla mnie jakby gazetą przyszłości, widzę w nich pewien wspólny rys, na ich kanwie wytwarzam sobie obraz tego, co nas czeka. Moje przepowiednie nie są pozbawione sensu. Bardzo wierzę w sny. Tę wiarę wyniosłem już z pierwszej brygady Legionów.

O wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej dowiedzieliśmy się w drodze, już za Uralem, na dużej stacji Nowosybirsk. Ze Starobielska wywieziono nas 15 czerwca 1941 roku. Podróż trwała około 25 dni. Organizacja transportu niczym nie różniła się od tego do Starobielska. Te same zakratowane okna, te same zaplombowane drzwi. Posterunki konwojentów na dachach z telefonią łącznością.

Buchtą Naohotka leży niedaleko Władywostoku, obóz ołbrzymi. Ciągnie się około 25 km wzdłuż Morza Japońskiego, na szerokości od 6 do 8 km. Jest to wielkie miasto skazanych na zagładę, o którym świat nie wie nic. Obóz ten jest obozem pracy, a zarazem obozem przejściowym. Stąd odchodzą transporty na Kołymę, Kamczatkę i Bóg wie, dokąd jeszcze. Wysyłanych uzupełniają natychmiast nowe partie więźniów politycznych i kryminalnych różnych ras i narodowości.

Tymczasem wojna między przyjacielami trwała, a my myśleliśmy, że zakończyła się nasza podróż. Jakby na potwierdzenie dostaliśmy od władz obozu polecenie, żeby się zorganizować i rozpocząć ćwiczenia wojskowe, gdyż będziemy wysłani do obozu wojskowego. Przystąpiliśmy natychmiast do pracy i z wojskowych towarzyszy stanęły 4 kompanie rozpoczynając ćwiczenia. Po dwu tygodniach zarządzono zbiórkę batalionu i w szyku wojskowym pomaszzerowaliśmy bez eskorty. Ale zamiast na stację oficer NKWD skierował nas do małej przystani morskiej, gdzie czekały na nas dwie duże barki, w których zajęliśmy miejsca nie przypuszczając, że dobrowolnie weszliśmy w pułapkę. Barki ruszyły, i w pół godziny dobiliśmy do przystani, gdzie czekał już okręt Dżurma, który pochłoniął nas bez żadnego oporu. Opór to śmierć całej grupy. Było nas razem około 1000 ludzi. Skończyła się zabawa w wojsko, płynęliśmy na Kołymę. Tam będziemy chyba szykować sobie wieczny odpoczynek. Stamtąd się zazwyczaj nie wraca.

Na towarowico Dżurma załadowano nas 22 lipca. Był to duży okręt, wyglądał jak czteropiętrowy gmach. Pod pierwszym pokładem urządzono nam przycho. Nie ma jak wyciągnąć nóg, siedzimy ciasno, jak stado zgłodniałych zwierząt. I traktują nas jak bydło. Przez otwór włazowy podają nam na sznurku wodę w wiaderku, drażnią się z nami, szydzą, spragnieni rzucamy się na wiadro. Woda rozlewa się, osłowiek liże ręce. W ten sam sposób podają nam kiszoną kapustę.

Statek ciężko pruje wodę, kołyszcie niesamowicie mimo pełnego obciążenia. Większość dostała morskiej choroby. Morze jest coraz burzliwsze. Staje w kolejce do ustępu. Ustęp to wydzielone miejsce na pokładzie, wypuszczone około metr za burtę, otoczone barierką. Gdy statek kołyszcie, łatwo wypaść do wody. Nikt nie będzie ratował. Żeby dostać się do tego ustępu trzeba stać

w kolejce kilka godzin. Po trzech godzinach jestem już blisko, prawdopodobnie w drugim rzucie znajdę się u oelu.

Nagle statek raptownie staje dęba i opada, środkowa, największa pryca wali się na nas z ludźmi. Belka tej pryicy opiera się tuż nade mną, jednym końcem przyciska mi nogę, ozuję ból. Przygniotło mnie trochę, popłoch niesamowity. Ktoś krzyczy, że Japończycy storpedowali okręt, słycać krzyki rannych i poturbowanych. Czy to już koniec? Pierwszych wyrzucają na pokład tych, co byli blisko wyjścia, a następnie tych ze zwałonej pryicy. Statek dalej bije dziobem fale, które unoszą się nad pokładem i opadają zalewając nas po sam pas. Każdy trzyma się lin i czego się da, aby woda nie zmyła go do morza. Jest już prawie ciemno. Przymusowa kąpiel trwa już parę godzin. Jestem u kresu sił. Dziw, że nie złapały mnie mdłości.

Okropne były te godziny biernej walki z żywiołem. Około ósmej wieczorem weszliśmy do luki po remoncie zgruchotanej pryicy. Zdjąłem przemoczone ubranie i bieliznę, miałem jeszcze w swoim bagażu parę bielizny i płaszcz, którego nie nałożyłem idąc do ustępu.

28 lipca 1941 dobiliśmy do Magadanu. Otworzono wszystkie luki i ludzie zaczęli wychodzić mieszając się ze sobą. A był w tym pudle tysiąc naszych i około 5 tysięcy sowieckich kryminalistów. Kolumna więźniów wyruszyła w drogę, wijąc się parokilometrowym sznurkiem po serpentynach magadańskich gór. Po dziesięciu kilometrach marszu włąb tajgi przybyliśmy do punktu zbórnego. Tu nas rozdzielono. Część więźniów sowieckich oraz całą naszą grupę popędzono do łaźni. Tu każdy rozbierał się do naga, a wszystko co miał zabierano i rzucano na jedną kupę. Nagich puszczano do łaźni, a po kąpiei każdy dostawał katorżnicze ubranie, które w najlepszym razie mogło wystarozyć na dwa miesiące. Nie wiem, czy po tym czasie zostałyby z niego chociaż strzępy. Dobrze to pomyślane, bo tyleż chyba czasu potrzeba, aby stąd przenieść się w zaświaty.

Trzy dni przebywaliśmy na punkcie zbórnym oczekując kolejki wyjazdu włąb tajgi. Drugiego sierpnia 1941 wpakowano nas do ciężarówek i zawieziono do punktu pracy przymusowej na 47 kilometr. Budujemy wielkich rozmiarów lotnisko. Pobudka o 4-tej rano. Biegiem do kuchni po kapiatok na owsie, biegiem na zbiórkę i wymarsz do roboty. Teren pagórkowaty, niżej porośnięte bagna. To przyszłe lotnisko po zniwelowaniu. Traktory wyrrywają z korzeniami karłowate drzewa, a z bagien darni, którą po osuszeniu się pali. Brniemy w tym bagnie po pas. Inni kilofami i łopatami rozkopują zwirowate pagórki. Taózkami i wagonikami przewozi się żwir w niższe partie rozległego terenu.

Pracujemy na ostatnich obrotach. Nie ma mowy o wykonaniu bolszewickiej normy. Jest tylko jedna kuchnia, która daje nam owies gotowany na wodzie (zupa) i łyżkę kaszy jaglanej. Całość wyżywienia uzupełnia 400g czarnego ohleba.

Pierwsze dwa tygodnie udawaliśmy się do pracy pod strażą zaledwie paru wartowników. Aż tu nagle pewnego ranka obstarwiła nas chmara bojców i w takiej asyście pracujemy. To źle wróży.

Ciężar roboty coraz bardziej daje mi się we znaki. Z braku witamin i głodowego wyżywienia dostaję opuchlizny od nóg aż do pasa. Tysiące wszy i pluskiew uzupełniają dzieło zniszczenia. Nie trudno o jakąś epidemię. Robotwo rzuca się na nas już za życia. Do tego ta silna eskorta. Pewnie chcą nas szybko wykończyć, tak jakby 19 godzin codziennej harówki nie wystarczało.

Miałem sen. Sen bardzo niewyraźny, konkretna jest liczba "dwa". Spodziewam się więc, że za dwa tygodnie (nie mogę powiedzieć, że za dwa miesiące, bo tyle tu nie wytrzymam) oos się stanie: albo kula w tył głowy, albo cud. Wierzę w sny, nie zawiodły mnie jeszcze. Tymi myślami podzieliłem się w tajemnicy z najbliższymi towarzyszami niedoli. A jednak ta silna obstawa wojskiem bardzo mnie niepokoi.

29 sierpnia 1941 roku - jesteśmy wolni! Oto, jak to się stało:

Już jest wieczór. Razem z porucznikami Bartoszyńcem i Bandurskim pchamy któryś z rzędu wagonik wypełniony żwirem, aż tu widzimy, jak koło politruka zbiera się grupa ludzi. Wywołuje nazwiska, słyse nazwiska Bartoszyń, Bandurski, moje oraz inne ne literę "b". Nie wiemy o co chodzi, opuszamy głowy. To ohyba już koniec. Gromada jest coraz większa, słyzy się pytania "za co?". Bpłszewik wywołuje dalsze nazwiska. Przypominam sobie, że właśnie mijają dwa tygodnie od mego snu. Wystraszone oczy więźniów skierowane na politruka oczekują dalszych rozkazów. A on wskazuje nam domek na środku lotniska i każe maszerować w tym kierunku. Idąc rozglądamy się, z której strony dostaniemy ognia. Doszliśmy, ustawiamy się przed domkiem. Po chwili wychodzi wojskowy w stopniu kapitana i oznajmia nam, że na mocy porozumienia rządu polskiego z rządem ZSRR wszyscy Polacy są wolni. Pyta o oficera, któremu może powierzyć ludzi.

Zgłasza się porucznik Bartoszyński i obejmuje komendę. Mamy tworzyć armię polską w Rosji do walki z Niemcami. Przyjedzie po nas wóz, kto starszy wiekiem - niech siada.

Po powrocie do obozu dostaliśmy pierwszy raz lepszą zupę i załadowani na wozy ruszyliśmy do Magadanu.

Na 13-tym km przed stacją więźniów - Magadanem, utworzono dla nas przejściowy obóz. Wprost z wozów udaliśmy się do jadalni. Dawno nie jedliśmy tak dobrej strawy! W obozie transparenty "Witajcie Słowianie" i inne w tym duchu. Przez tydzień mamy się tu odżywiać, by przyjsć jakoś do sił. Zgłosiłem się do pracy w kuchni. Miałem na uwadze możliwość pomocy kolegom, a i sam chciałem się szybciej podreperować.

Dziś 1 września 1941, druga rocznica wybuchu wojny, a trzeci dzień na wolności. Niepewnej wolności - przed nami 1400 km, daleka podróż. Na wolności wprawdzie, ale w kraju odwiecznego wroga. Wyglądam jak nędzarz w łachmanach. Czy te łachy wystarczą jeszcze na miesiąc? Jedna kufajka to teraz skarb. Jestem wciąż głodny, choć jedzenia mi nie brak. Na drugi dzień po przybyciu tutaj zachorowałem. Kucharz mnie uprzedzał: "Ty, Antoniewicz, jedz tylko połowę tego, oo chociażbyś zjeść." Nie posłuchałem. Jadłem nie połowę, ale dwa razy tyle. Jestem cały opuchnięty.

Po tygodniu dano nam suchy prowiant na drogę do Władywostoku: śledzie, bochenek chleba, woreczek sucharów i ówierć kilograma okru obliczone na 10 dni podróży. Ponadto 285 rubli.

6 września 1941. Nadal jestem chory. Kilka kilometrów na statek przemaszerowałem przy pomocy kolegów i trochę o własnych siłach. Położyłem się na pryocy z workiem z żywnością pod głową. W worku były dwie porcje żywności: moja i por. Bartoszyńska.

Nasz okręt nie płynął wprost do Władywostoku, lecz w kierunku Kamozatki. W małym porcie Dreswa miał wyładować towar, ale nie mógł dobić do brzegu ze względu na płytcznę. Towar przeladowywano na barki przy mocno wzburzonym morzu. Ta zabawa trwała 3 doby. Wreszcie statek ruszył. Po 14-tu dniach głodowej podróży dobiliśmy 19 września do Władywostoku.

Zorganizowano tu kolejny przejściowy obóz. Mamy dostać bilety kolejowe do miejsca formującej się Armii Polskiej. Po trzech dniach otrzymaliśmy bilety, ale tylko do Omska. I z tego jednak jesteśmy zadowoleni - oby dalej od miejsca zagłady. Czuję się trochę lepiej. Radość z powodu wolności grzeje jak niedźwiedzi kozuch. Strój jeszcze katorżniczy, ale nie gorszy, jak się okazuje, od ubioru rosyjskiego robotnika. Doczekałem wolności po 531 dniach od aresztowania. A ilu nie dotrwało? Cześć ich pamięci.

2 października 1941. Jest niewesoło. Od paru dni siedzimy na dworcu kolejowym w Omsku, śpimy jak psy pod ławkami, nie wiemy, oo dalej począć. Tu nio nie wiedzą o formującej się polskiej armii. Wysłaliśmy delegację do miejscowego NKWD. Kto jak kto, ale oni powinni być dobrze o wszystkim poinformowani. Tymczasem, może nam na złość, zrobili głupię minę: oni też nio nie wiedzą. Zaproponowali nam pracę w kołchozach. Podziękowaliśmy za dobrą radę. Pieniądzy już prawie nie mam. Czyżbym wolny miał zdechnąć z głodu? W końcu i do Omska dotarli kurierzy gen. Andersa. Jako miejsce tworzenia się naszej armii podali Buzołuki. Ale trzeba mieć bilet kolejowy. Za jazdę na gapę trafia się do łagra. Sprzedałem kufajkę za 100 rubli, tyle niemal kosztował bilet. Zimno mi bardzo, temperatura około 10 - 15 stopni poniżej zera. Jestem głodny. Czy dojadę żyw do Buzołuk? Za kilka godzin ma być pociąg.

12 października 1941 roku. Jestem uratowany. Cudem wyszedłem z tej całej historii. A jeszcze przed kilku dniami postanowiłem umrzeć na stacji w Buzołukach. Przemarznięty i głodny do nieprzytomności dojechałem po 6-ciu dniach do Buzołuk. Na stacji masa ludzi. Powiadają, że tu nie przyjmują już do wojska, nie ma miejsca, drugi punkt rekrutacji jest w Taszkienoie, zaraz podstawią pociąg. Byłem zrezygnowany. Siadłem na ziemi, kompletnie wycozerpany. To miejsce wybrałem sobie za ostatnie.

Nagle podszedł do mnie polski kapral, pełniący służbę na stacji. Żyję dzięki niemu. Zapytał, czy mogę jechać dalej, bo pociąg już stoi. Odpowiedziałem, że nie mam już sił. "Pan zawodowy?" - zapytuje mnie. Odpowiadam twierdząco. "Zawodowych wojskowych przyjmują". Podniósł mnie z ziemi, wskazał drogę. Nie wiem skąd nabrałem sił, czułem jak wiatr mnie popycha. Ledwo utrzymywałem równowagę bojąc się, że w takim stanie mogą mnie nie przyjąć. Przyjęli bez wahania. Pamiętna data - 9 października 1941 roku.

Po trzech dniach kuracji i odpoczynku zapisałem się na wyjazd do oddziału w Trockoje z przydziałem do 18 p. p. 6-tej dywizji. Nie jestem jeszcze umundurowany, ale mam na sobie trochę nowych łachów, mam oo jeść i mam pracę.

Jeszcze nie ochłoniąłem z przeżytych paru ostatnich dni. Wydawało mi się, że jestem bardzo

szoczęśliwy, gdy na Kołymie ogłoszono naszą wolność. Ale potem okazało się, że w tym bezkresnym kraju można i wolnym zdechnąć. Nie upajam się więc szczęściem i wolnością, bo może mnie to spalić. Nie jestem jeszcze zdrow, opuchlizna nie zesza, wyglądam mizernie. Katorga może powrócić w postaci choroby. Znam kilka takich przypadków. Cieszę się i raduję powoli. Smakuję jak dobry trunek.

Ale przychodzą i myśli ponure. Wojny jeszcze nie koniec, i nie bardzo go widać. Rosja może upaść - Niemcy są pod Moskwą. Zapowiada się na długą jeszcze wojnę. Czy przetrzymam ją? Czy przetrzymają moi w Polsce? Czy się z nimi jeszcze zobaczę? Kiedy zejdziemy się w swoim domu?

Jak wygląda miejsce zagłady setek tysięcy ludzi?

Kołyma. Sznat ziemi górzystej pokrytej częściowo wiecznym śniegiem. Obozy pracy przymusowej nie mają nazw, tylko numery. Nasz obóz był na 47 kilometrze. Za ciężką pracę otrzymuje się głodowy posiłek, co powoduje, że ludzie często nie wytrzymują tutaj ani jednego miesiąca. Stolicą jest miasto Magadan. Przy nim znajduje się obóz przejściowy, w którym gromadzi się więźniów, by po paru dniach wysłać ich do pracy na miejsce wykończonych. Wielkość obozu jest imponująca, około setka baraków dla 6000 ludzi. Po rozestaniu partii więźniów obóz pustoszeje na dwa, trzy dni, gotując się na przyjęcie nowych transportów.

Przed naszym przybyciem był tu straszny rygor. Karano śmiercią za niewykonanie normy, a była to norma niewykonalna. Zimą przy 50 - 70 stopniach poniżej zera pakowano więźniów do karek na płozach i rozebranych do naga wywożono na całą noc. Rano wyrzucano trupy, a kareta wracała po następną porcję. Latem wiązano ręce z tyłu i mocowano do drążka, zostawiając nagich na pastwę komarów. Wartownik czuwał w siatce na głowie. Bicie i strzelanie w tył głowy było na porządku dziennym.

Wojna spowodowała zakaz tych tortur, ale zastąpiono je nieludzką pracą. Podzieleni byliśmy na brygady po 50 osób, a brygadystami wyznaczano sowieckich kryminalistów, którzy nie mieli litości.

My mieliśmy szczęście dożyć umowy między rządem Polski a ZSRR. Uratowała ona życie tysiącom Polaków. Myślę jednak, że gdyby nie wymordowanie polskich oficerów nikt nie wróciłby z miejsca zagłady. Kogoś jednak Stalin musiał oddać. Z Kołymy zameldowało się nas w 2-gim Korpusie niespełna 200. Na Kołymie nie ma cmentarzy. Ludzi grzebie się jak padlinę.

Bolesław Billip